TYGODNIK ILLUSTROWANY

№ 12. Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 5/17 grudnia 1859.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Daniel Mikołaj Chodowiecki (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Korrespondencya „Tygodnika Illustrowanego.“ Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu (z drzeworytem).— Zamek Piastów w Lignicy (z drzeworytem). — Wiszący most w Kijowie (z drzeworytem).— Tessalianka (poezya).— Myśli oderwane. — Odezwa p. Apollinarego Kątskiego, dyrektora Instytutu muzycznego warszawskiego.—Rozmaitości.—Korrespondencya od redakcyi. — Nowy Kastor i Polluks, albo historya o dwóch zasuszonych kawalerach na warszawskim bruku (z dwoma drzeworytami) dokończenie. — Zadanie konikowe do nagrody i rebus.

Daniel Mikołaj Chodowiecki.

W gronie rodaków naszych, co pracą i talentem zjednali sobie sławę u obcych, jaśnieje znakomity malarz i rytownik Chodowiecki, który, chociaż działalność swą artystyczną poświęcił głównie na usługi kraju sąsiedniego, należy przecież do nas urodzeniem i piérwotném wychowaniem. Życie jego, to zwycięztwo ducha nad gniotącemi go warunkami zewnętrznemi. Przeczuwszy wyższe powołanie swoje, posłuszny nieprzepartemu popędowi, rzuca zawód obiecujący mu sowite korzyści materyalne, oddaje się z zapałem sztuce, i własnemi jedynie dźwigając się siłami, uwiecznia w niéj swoje imię.

Daniel Mikołaj Chodowiecki urodził się d. 16 października 1726 roku w Gdańsku, gdzie ojciec jego był kupcem. Rodzina Chodowieckich pochodziła pierwotnie z Chocza w Wielkiéj Polsce, zkąd następnie przeniosła się do Torunia i Gdańska. W księgozbiorze uniwersytetu jagiellońskiego w Krakowie znajduje się własnoręczny list Daniela Chodowieckiego, ze szczegółowym wywodem jego narodowości, w którym artysta nasz, pisząc do jakiegoś Łęskiego, tak się wyraża:

„Jeżeli mnie wpan masz za Polaka, którego rodzice osiedli w Niemczech, to wielką czynisz mi krzywdę; bo wtedy niebyłbym Polakiem, ale Niemcem, a właśnie mam sobie za zaszczyt być prawdziwym Polakiem, chociażem w Niemczech osiadł. Bartłomiéj Chodowiecki był ziemianinem w Wielkiéj Polsce. Jego syn czwarty, Mateusz, urodzony r. 1583 z Krystyny Morawskiéj, spłodził r. 1610 syna Jana, który ożeniwszy się w Toruniu z Elżbietą Rychowską, był ojcem Krystyana, kupca w Gdańsku. Krystyan r. 1698 spłodził syna Bogumira, z którego roku 1726 urodził się Daniel. Tym Danielem ja sam jestem, piérwszy z Chodowieckich, co opuściwszy Polskę, przeniósł się do Niemiec. Widzisz więc wpan dobrodziéj żem prawdziwy Polak.“

Ojciec Daniela, malujący sam dla rozrywki miniatury, udzielił mu piérwszych w téj sztuce początków. Posłuszny jednak woli rodziców, młodzieniec po śmierci ojca poświęcił się zawodowi kupieckiemu, początkowo w Gdańsku, a następnie, od r. 1743, w Berlinie, u brata swojéj matki. Jeżdżąc z pryncypałem po jarmarkach, pełnił u niego obowiązki buchhaltera, a w chwilach wolnych malował miniatury do tabakierek, które dla wuja jego stały się wkrótce przedmiotem zyskownego handlu. Rzemieślnicze to zajęcie nie mogło przecież zadowolić młodego Daniela, którego umysł pałający rwał się niecierpliwie ku wyższym sferom artystycznym. Tę walkę ducha, skrępowanego przeszkodami materyalnemi, wystawia sam Chodowiecki w autobiografii swojéj, drukowanéj w Meusel'a „Miscellen artistischen Inhalts.“

„Czułem dobrze, mówi nasz artysta, że wszystko co robię bardzo jest błędném w rysunku i niedokładném w kolorycie; nie było tam żadnéj harmonii, tylko wszystko z rycin kopiowane. Mój wuj był kupcem,

DANIEL MIKOŁAJ CHODOWIECKI.

i więcéj naturalnie szło mu o zyski, jak o postępy moje w sztuce. Na malarstwie nie znał się wcale, i przekonany był że każda moja praca jest arcydziełem. W końcu zobaczyłem u malarza co mnie uczył malowania na emalii (był to Augsburczyk nazwiskiem Hayd) rysunki akademickie i usłyszałem od niego jak artysta uczyć się powinien. To wszystko podnieciło we mnie ogień ukryty dotąd w popiele: postanowiłem porzucić zupełnie kupiectwo i uczyniłem to w r. 1754.“

Od téj chwili zaczyna się, mozolny zrazu i niewdzięczny, zawód artystyczny Chodowieckiego. Pracując bezustannie, poznał się z dobrymi artystami, jak: Rode, Le Sueur i wielu innych; żaden z nich przecież nie wywarł stanowczego wpływu na kierunek talentu młodego artysty, którego utwory noszą piętno niezaprzeczonéj samodzielności.

Około r. 1756 rzucił się do rytownictwa i w sztuce téj stał się założycielem nowéj zupełnie szkoły. Głównemi dzieł jego cechami są: oryginalność w pomyśle, gruntowne studyum natury i charakterów, powabna technika i ogólna harmonia w wykonaniu. W rycinach z pod ręki jego wyszłych widzimy kolejno humor i surową powagę, a religijność i cnota, któremi sam był przejęty, wszędzie w nich górują. Występek umié Chodowiecki oblec w szatę tak przerażającą, a cnotę idealizować tak uroczo, że niektóre z prac jego głębsze od wielu traktatów moralności czynią wrażenie.

Utwory jego zwróciły wkrótce uwagę akademii sztuk pięknych w Berlinie, która zleciła mu wykonanie rycin do wydawanego przez siebie kalendarza. Około r. 1770 zetknął się z Basedowem, tym prawdziwym przyjacielem ludzkości, który poznawszy ile talent Chodowieckiego poprzéć może jego zamiary, polecił mu wykonanie stu rycin do swego „Dzieła elementarnego“ (Elementarwerk). Podobnież wszystkie niemal ryciny do „Fragmentów fizyognomistycznych“ Lavater'a robione są podług jego rysunków, a niektóre on sam po mistrzowsku sztychował. Szczęśliwy w pomyśle, sumienny w wykonaniu. zręczny w zachowaniu podobieństwa osób kilka razy w ciągu dzieła rysowanych, umiejący przytém doskonale uwydatnić grę namiętności i uczuć, Chodowiecki stać się musiał i stał się istotnie ulubieńcem publiczności, illustratorem prawdziwie popularnym. To téż rzec można, że w ciągu lat kilkudziesięciu nie wyszła w Prusach żadna niemal książka, do któréjby on nie dorobił choć winiety, a illustracye jego stały się dla wydawców rękojmią pokupności; nic dziwnego więc iż liczba mniejszych jego rycin dochodzi do 3,000.

W utworach Chodowieckiego większych rozmiarów mniéj widać życia i prawdy; lecz przypisać to można w części przesadnemu strojowi ówczesnemu, utapirowanym w piętra głowom i bufiastym sukniom, w których trudno było postacie ludzkie przedstawiać kształtnie i szykownie, a w części mniejszemu zamiłowaniu z jakiém oddawał się pracom tego rodzaju, do których brakowało mu koniecznéj w takim razie cierpliwości.

Z zacytowanéj wyżéj autobiografii przytaczamy jeden jeszcze ustęp, dowodzący przywiązania naszego artysty do kraju rodzinnego.

„Roku 1773, pisze Chodowiecki, po trzydziestole-

tniéj nieobecności, odwidziłem znów moję drogą ojczyznę, która mnie z całą miłością i przyjaźnią powitała. Chciałem tylko dwa tygodnie zabawić w mieście rodzinném, ale zarzucono mię tylą robotami, że dziewięć tygodni zabawić musiałem. Tu, pomiędzy wielą innemi miniaturami, malowałem także prymasa Podoskiego, co potém zmarł w Marsylii. Nie pomyślę nigdy bez wzruszenia o dniach przyjemnych jakie wtedy spędzałem.“

Oddawna już Chodowiecki pełnił obowiązki wicedyrektora akademii sztuk pięknych w Berlinie, gdy roku 1798, po śmierci Rode'go, obrany został jednomyślnie rzeczywistym jéj dyrektorem. Niedługo jednakże urząd ten sprawował, gdyż dnia 7 lutego 1801 umarł w 75 roku życia, po kilkomiesięcznéj chorobie.

Z obrazów olejnych Chodowieckiego najsłynniejszą jest wielka kompozycya jego: „Pożegnanie nieszczęśliwego Jana Calas,“ znajdująca się w galeryi królewskiéj w Berlinie. W sklepioném więzieniu siedzi w środku Calas, z głową opartą na ramieniu córki. Druga córka obejmuje go na klęczkach, a syn pochylony całuje rękę nieszczęśliwego ojca. Na lewo od téj gruppy dwóch żołnierzy wpuszcza do celi dwóch księży, z których jeden trzyma w ręku rożaniec. Na prawo w krześle poręczowém siedzi zemdlała małżonka Callas'a, cucona przez sługi; przed nią na stole leży otwarta książka. Dozorca więzienia zdejmuje pęta z nóg Callas'a, aby go poprowadzić na miejsce egzekucyi. Obraz ten sam artysta rozpowszechnił za pomocą wydanéj w r. 1768 ryciny.

W téjże galeryi mieszczą się dwa inne wysokich zalet malowidła rodzajowe Chodowieckiego: „Das Blindekuhspiel“ (Ślepa babka) i „Der Hahnenschlag“ (Gra w kurka). Oba te utwory odznaczają się lekkością i dowcipem, a w jasnych, srébrzystych tonach przypominają Lancret'a.

Piękny obraz olejny Chodowieckiego, przedstawiający „Niewiastę przy gotowalni,“ znajduje się w zbiorze Edwarda bar. Rastawieckiego; najkompletniejszy zaś zbiór jego rycin posiada z Polaków p. Gwalbert Pawlikowski w Medyce.

Kronika tygodniowa.

We Francyi ogłaszają konkurs na napisanie książki obejmującéj pewne stałe zasady grzeczności i układności światowéj. Zdałaby się i u nas taka książka, zdałaby się bardzo. Nikną już wszelkie tradycye stosunków wzajemnych kobiét i mężczyzn pomiędzy sobą, albo raczéj zkąd je brać, kiedy mężczyzni utworzyli sobie oddzielne towarzystwa, i w nich większą część czasu przepędzają. I w tém właśnie leży główny powód, że tak zwane dobre obejście światowe w takiém jest zaniedbaniu. Główną podporę salonu stanowi kobiéta; ona to zwykle jest miarą regulującą gładkość i układność stosunków towarzyskich. Chęć przypodobania się damom, najwięcéj wpłynęła na otrząśnięcie się mężczyzn z szorstkości i prostactwa; skoro ta chęć ustaje, dawne nałogi wracać się muszą. Tak nazwane *sans gêne*, wynikające z wyłącznego obcowania mężczyzn pomiędzy sobą, jest rzeczywistą plagą towarzyską, bo w takim razie niéma środka ani punktu, gdzieby się można zatrzymać, a wyswobodzanie się z pod drobnych form przez towarzystwo nam narzucanych, stopniowo i nieznacznie w coraz większe przechodzi nadużycia.

Spytacie mnie zapewne, zkąd mi przychodzi ta obrona salonów i galanteryjne moralizowanie. Oto ztąd, iż widzę ze smutkiem, że z każdym rokiem zabawy towarzyskie upadają coraz bardziéj. Miejsca publiczne zajęły pole salonom, karty zdetronizowały konwersacyą, a dym tytuniowy, wstrętny wielu kobiétom, tak wielmożnie się rozkrólował w usposobieniu płci naszéj, że nie pozostawiono damom prawie nic do wyboru, tylko nudzić się same pomiędzy sobą. Na każdém większém zebraniu odbywa się kolejna dezercya do fajczanego pokoiku, ktory wszędzie musi być urządzony.

A i tak, Bogiem a prawdą, tych prywatnych zebrań niéma prawie. Salony, które dawniéj o tym już czasie zapełniały się kwiatem towarzystwa warszawskiego, obecnie stoją zamknięte, służąc dla osamotniałych kozetek i fotelów za pole do rozmyślania nad marnościami rzeczy ludzkich. Jednostajne te nudy przerwie tylko niekiedy jaki koncert albo teatr amatorski, jak na przykład ten, który miał miejsce w bieżącym tygodniu w salce towarzystwa dobroczynności. Przedstawienie to, dwukrotnie powtórzone, składało się ze sztuczki „Weksel nieopłacony,“ umyślnie na użytek teatru dobroczynności z niemieckiego tłumaczonéj, i komedyjki „Państwo Staruszkiewiczowie,“ przerobionéj z francuzkiego, a grywanéj niegdyś z wielkiém powodzeniem w teatrze naszym. Urozmaiciło ten program dodanie części muzycznéj, wykonanéj przez utalentowanych amatorów miejscowych W obu sztuczkach mieli udział: z kobiet pani Bogowolska, panny Anna Korzeniowska i Szawłowska, z mężczyzn zaś: panowie Dietrych, hr. Henryk Skarbek, Le-Brun, Szermentowski i Kuliński. Obiedwie sztuczki, odegrane z wielką żywością, dały nam prawie zapomnieć że nie artystów ale amatorów tylko mamy przed sobą, tém bardziéj, że też same osoby w odmiennych zupełnie występowały rolach. Dawno nie pamiętamy teatru amatorskiego, któryby tak udatną przedstawiał całość; nawet głos i charakterystyka, zwłaszcza w rolach państwa Staruszkiewiczów, Przynuki guwernera i synala ich Grzesia, który kiedyś miał przywiléj wzbudzania takiego śmiechu w dawnéj naszéj publiczności, nie pozostawiały nic do życzenia. Takie to właśnie wesołe sztuczki najlepiéj się nadają do amatorskich teatrów i stanowią wielką zabawę, nietylko dla publiczności, ale i dla samych grających.

Ze sprawozdania współki jedwabniczéj, któréj posiedzenie miało miejsce w zeszły wtorek, czerpiemy to przekonanie, że gdyby ogół chciał czynnie dopomódz usiłowaniom współki, ważna ta gałęź przemysłu mogłaby wkrótce u nas na kwitnącéj stanąć stopie. Drzewa morwowe wybornie się tu aklimatyzują, nie potrzebujemy już nawet sprowadzać płonek z zagranicy, starcząc na nasze potrzeby. Brak tylko kapitału na utworzenie *skręcalni*; tutaj już współka własnemi siłami nie nadstarczy, a ogół, jak dotąd, dość się oziębłym okazuje. Nieszczęściem jest, że u nas kapitaliści pragną zaraz mieć natychmiastowe zyski, a lękają się terminów kilkoletnich w przedsiębierstwach, niewątpliwą nawet obiecujących korzyść. A przecież gdyby się w całéj Europie tak zachowano, toby żadne pożyteczne przedsięwzięcie nie mogło dojść do skutku, bo owa natychmiastowa korzyść, jest po części tylko urojeniem, albo czém gorszém jeszcze.

Resursa kupiecka rozpoczęła w zeszłą sobotę szereg zapowiedzianych koncertów, i liczne zebranie słuchaczów dowiodło, że urządzając tego rodzaju zabawy, komitet wszedł na właściwy tor, jakiego mu się dawno trzymać należało. Muzyka teraz w modzie i zajmuje wyłącznie warszawian. Niestety, czyliż ta harmonijna niebios córa, czyliż ta najulubieńsza może Apollina muza, stała się u nas Kainem bratobójcą?

Nie chcemy temu wierzyć, a jednak wydaje się to smutną prawdą, bacząc na nędzne życie, jakie tutaj prowadzą: Abel malarz, Abel rzeźbiarz i Abel literat. Nie mówimy o architektach, bo wiadomo że tym po wielkich miastach nigdy nie jest krzywda; ale obejrzyjmy się w około, co się u nas dzieje z innemi sztukami pięknemi. Malarze muszą się ratować retuszowaniem fotografij, robieniem rysunków do litografij i drzeworytów; biédnym rzeźbiarzom nawet nagrobków już nie stało, zmuszeni są fabrykować kilkocalowe cacka do stawiania na pułkach, bo ich sztuka zaledwie w tych miniaturowych rozmiarach jest znośną dla publiczności; literaci zaś, jeżeli nie mają szczęścia być policzonemi do dziennikarstwa, muszą chyba chwycić się jakiegobądź innego zatrudnienia, na przykład przepisywania albo utrzymywania meldunków domowych, żeby zarobić na życie. Księgarze wolą kupować nowe domy, aniżeli rękopisy, i nie dziwimy im się, jest to bowiem daleko pewniejsza i korzystniejsza spekulacya. Ba, ale cóż nawet i księgarze temu winni, kiedy czytać nikt nie chce, a mieszkać każdy musi? Żeby książka była lokalem, działoby jéj się pewno lepiéj. Ale niestety, papiér jest jedynym produktem surowym, który po przerobieniu go na towar, traci najczęściéj wewnętrzną wartość swoję. Bo przecie każdy wié, że czysty papiér daleko jest popłatniejszy, aniżeli te biédne książki, które takiemi massami sprzedają się u nas na obwinięcie pieprzu i masła. I można śmiało powiedzieć, że jest to jedyny handel książkowy, który tu idzie dobrze.

To wszystko wypowiedziałem, dla wytłumaczenia się przed wami, że jak na teraz z nowości literackich bardzo mało mam do doniesienia. O zmniejszeniu formatu Kroniki, samo juz to pismo uprzedziło was osobiście; podobno od nowego roku wchodzą w skład redakcyi téj gazety nowe żywioły, mające ją podsilić i więcéj miejscową nadać jéj barwę. Każde pismo u nas zasługuje na współczucie, i dziwnémby było żeby siły nasze nie starczyły na utrzymanie tych kilku, które posiadamy. A u nas jednak zwykle tak bywa: kiedy pismo upadnie, publiczność nie szczędzi żalów i piorunuje na brak wytrwania. Ale i to wytrwanie ma swoje granice. Mieliśmy go niemało przykładów i niezawsze z dobrym skutkiem. Nie mówimy tego o Kronice, któréj rokujemy powodzenie, a przynajmniéj życzymy jéj go. Wiadomo przytém, że teraźniejszy jéj wydawca i redaktor, pan F. S. Dmóchowski, zna dobrze tutejszą publiczność i nieraz w najtrudniejszych okolicznościach potrafił sobie znaleźć radę stósowną.

Nakładem Gebethnera i Wolfa wyszła z druku komedya p. J. Korzeniowskiego „Majątek albo imię,“ która, jak wiadomo, otrzymała w bieżącym roku nagrodę konkursową. Niedawno, w prywatném kółku, czytaną była przez tegoż autora nowa jednoaktowa komedyjka, albo raczéj przysłowie (proverbe) pod tytułem „Pustynia,“ którą wydrukowała w tych dniach „Gazeta Warszawska.“ Śliczny to obrazek, napisany z wielkim wdziękiem, żywością i dowcipem. Ten rodzaj, mało jeszcze znany u nas, we Francyi w bardzo wielkiém obecnie jest użyciu. Nawet na scenie obrazki podobne przedstawiane bywają z powodzeniem; ale potrzeba do tego bardzo uzdolnionych aktorów, szczególniéj z życiem salonowém obznajmionych.

Donoszą nam o mającym się odbyć teatrze amatorskim w Kutnie, i o kilku innych teatrach amatorskich, zapowiedzianych albo odbytych już w Warszawie. W jedném miejscu mianowicie grano komedyą Fredry „Damy i Huzary,“ naturalnie mocno skróconą. Zapowiedziana przez nas w przeszłym tygodniu opera „Błyskawica“ przychodzi podobno do skutku w jednym z tutejszych salonów,

Truppa pana Carré przemieniła się na bardzo bojowniczą, i codzień nowe jakieś miasto zdobywa. Lękamy się że przez czas kilkomiesięcznego pobytu u nas ci bohaterowie tyle zrobią podbojów, że już nawet mający się wkrótce zebrać kongres europejski nie da sobie rady z nimi.

Praga, która przy starszéj swojéj siostrze, Warszawie, grała zawsze rolę owego Kopciuszka, na którego nikt nie zważa i który w kącie skromne swoje pędzi istnienie, zaczyna się dopominać o swoje prawa. Rozpoczęte roboty około budowy nowego mostu i zapowiedziane w prędkim czasie ukończenie kolei żelaznéj petersburgsko-warszawskiéj, wpłynęły znacznie na ożywienie tego dotychczasowego przedmieścia. Wznoszą się teraz nowe budowle i cena placów podniosła się w dwójnasób. Doprawdy, niezłą teraz zdaje się spekulacyą budować nowy dom na Pradze, bo kto wié czy ona nie jest przeznaczoną do ukompletowania kiedyś całości warszawskiéj, i czy po urządzeniu stałéj kommunikacyi przez Wisłę, miasto nasze nie rozszerzy się z obu stron téj rzeki, jak Paryż, który po obu stronach Sekwany równo się zabudował. Nawet wzrostowi Pragi sprzyja ciągły tam napływ zwykłych potrzeb życia, z których Warszawa znaczną część czerpie na swój użytek, czego dowodem, że jeśli czasem przez kilka dni kommunikacya pomiędzy Warszawą a Pragą przerwaną zostanie, to wszystko drożeje u nas. Owóż być może, że Praga przerobi się, przy sprzyjających okolicznościach, w ważny skład handlowy i stanie się targowiskiem napływających z tamtych stron towarów i produktów. Tymczasem zaś, dla kapitałów leżących bezpożytecznie na dnie skrzyń, a wiadomo że takich niemało jest u nas, otwiera się nowe pole działania, i ręczyć prawie można, że uwaga przemysłowców w tamte strony zwrócona, nie zawiedzie się. Słyszeliśmy nawet, że już obywatele miasta Pragi, poczuwając się niejako do wielko-miejskiéj solidarności, zamierzają urządzić pomiędzy sobą pewien rodzaj zebrań publicznych, połączonych z peryodycznemi zabawami. Toż dopiéro Wiśle wesoło będzie w karnawał! Z lewéj i z prawéj strony przygrywać jéj będą, a ona, jak na złość uwięziona pod twardą lodu powłoką, nie będzie się mogła ani ruszyć z miejsca. Biédna ta Wisła, im brzegi jéj więcéj zaludniają się, tém ona bardziéj ubożeje i wysycha. A łatwy byłby sposób zaradzenia temu, przez oczyszczenie jéj koryta, albo przynajmniéj umocowanie brzegów. Mamy nadzieję, że to nastąpi; tylko trochę cierpliwości!

Nie zawadzi także wspomnieć tu kilka słów o po-

czciwie zasłużoném publiczności czytającéj piśmie, które z każdym rokiem o coraz nowych ulepszeniach i dogodnościach myśli dla prenumeratorów. Mówimy tu o „Ruchu muzycznym.“ Obecnie, bez podniesienia ceny, powiększył on peryodyczny dodatek nót, które daje do wyboru prenumeratorom. Do prospektu dołączony katalog autorów, obejmuje najznakomitsze nazwiska w świecie muzycznym europejskim; słowem, prenumerując pismo pana Sikorskiego, można sobie tanim kosztem bardzo piękną bibliotekę muzyczną utworzyć.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Rzym, 19 listopada 1859 r.

A Jove principium. W ostatnim liście moim pisałem wam o groźnych burzach włoskiego nieba; dziś jego szafirowa kopuła błyszczy znowu najprzezroczystszą pogodą, a powietrze przynosi ciepłe powiewy, pod ukośnym już promieniem październikowego słońca. Jesień jest rzymską wiosną... Wiosna sama bywa tutaj krótką i mierzy się niemal cudném kwitnieniem brzoskwiń i migdałów, tym rumianym lub modrym puchem, co jak kiść śniegu w cieple i w lazurze włoskim ufarbowana, drży na nagich jeszcze gałęziach drzewiny, uprzedzając rozwinięcie ich liści. Z zielenią zaś poczynają się już upały: pod tém słońcem kwiecie tak rychło przemija jak urocze wdzięki dziewic krain południowych, i sama tylko płomienista róża, jakby pochodnia Erosa, starożytnego bożka téj ziemi, najdłużéj płonąć zwykła. Owóż włoska jesień zabiera u wiosny jéj łagodność i świeżość, jéj pogodę i zieleń, rozlewającą się nagle powodzią, w skutek wrześniowych deszczów, po niezmiernym obszarze rzymskiego pustkowia i spływającą szmaragdowemi falami traw i pastwisk, aż do błękitnych fal tyrreńskiego morza. Jest to słowem wiosna, tylko wiosna bez słowików, bez śpiéwu i bez miłości, jak milcząca westalka, któréj nikogo ukochać nie wolno.... Jesień jednak tutejsza nie wzbudza tylu tęsknych uczuć jak w naszym kraju, bo nie zwiastują jéj długa elegia opadającego liścia i pożegnalne poszepty rozbierających się lasów: tylko widnokrąg, wolny od gorącego spieku, bardziéj głębieje i przezroczyście, a światło złocistszém się staje, na wzór dojrzałych pod niém winogron. Pod takiém światłem gmachy i białe marmury zlekka się złocą, podobnie do zbożowego łanu przed żniwem, góry mają aureolę, jak święci w obrazach, wypukłość dalekich przedmiotów staje się wyraźną dla oka, a krajobraz z malowidła zamienia się w płaskorzeźbę.....

Październik jest we Włoszech porą winobrania. Opatrzność pozbawiła nasze chłodniejsze kraje wesela i radości, jakiemi ta pora południowe ludy napełnia; należą one do najserdeczniejszych i najdawniejszych serca ludzkiego, albowiem zostały najprzód wyśpiewane przez proroków Izraela. Pismo święte, ażeby wyrazić smutek nieurodzaju i żałobę przeklętéj niepłodnością ziemi, powiada w bogactwie swoich zachodnich przenośni: *lugebit vindemia*, płakać będzie winobranie. Wesele brzmi ciągle w pieniach greckich i rzymskich poetów sielanek, od Hezyoda do Teokrita, od Teokrita do Wirgiliusza, od Wirgiliusza aż do czasów w których hufce Atylli i Genzeryka wytrzebiły italskie winnice i zmięszały roskoszny płyn zgruchotanych amfor, z krwią spodlonych potomków Romy. Słowem cała poezya i sztuka starożytna są jakoby przezroczystym puharem, napełnionym sokiem z winnych jagód i uwieńczonym równiankami kwiecia. Myt Bachusa jest genezą tego piérwiastku i godłem wyniku dzielności, która ożywia, która pali i wysusza, tak jak bachanalie są godłem winobrania, a szał bachantek, wesela i natchnienia zawartego w czarze, w któréj się pławi duch słońca.

Bachanalie te przechowały się do dziś dnia w Rzymie w ludowych październikowych uroczystościach, a bachantki żyją w dziewczętach uwieńczonych powojem i różami, które gromadnie na wozach przebiegają miasto i napełniają je brzękiem swych bębenków i bachicznemi pieśniami. Mistrzowskie ryciny Pinellego mogą dać ciekawym najlepsze wyobrażenie co to jest *ottobrato*, w najdrobniejszych odcieniach narodowego typu.

Wyjąwszy rzymskie bachanalie, omyliłbym się wielce, stosując bezwyjątkowo do całego półwyspu w teraźniejszym roku to, com wyżéj powiedział o święceniu winobrania i ludowém weselu. W okolicach Rzymu na przykład grasująca od lat dziesięciu choroba winnic wróciła znowu, obecnie i wszystkie grona obróciła w niwecz, tak iż jednéj kropli wina nie zebrano. Atoli nieurodzaj we Włoszech nie zadaje nigdy takiego ciosu właścicielom jak u nas i nie wpływa tak stanowczo na stan ich dochodów, albowiem ciągną korzyści nietylko ze zboża, ale także z winnic i z oliwnic, a ilekroć jedno chybi, to drugie nadziei nie zawiedzie, ilekroć się nie udadzą oliwki, to dopisze winograd lub pszenica, i odwrotnie.

Ponieważ ze stolicy wyszliśmy w pole, muszę wam opowiedzieć prawdziwą a świeżą anegdotkę z poza bram miasta, któréj bohaterem jest nasz pielgrzym z pod Krakowa.

Pobożny ów staruszek, złamany lat ciężarem, postanowił był przed śmiercią odbyć od młodości pożądaną i marzoną pielgrzymkę do grobu świętych apostołów, kędy dziad i pradziad jego składali przed zstąpieniem do grobu swój kij pielgrzymi i nucili hymn dziękczynny.

Starzec nasz, jak na prawdziwego pątnika przystało, szedł pieszo od samego domowego progu, a strój jego, odpowiedni całkowicie świętobliwéj podróży, przypominał owych średniowiecznych wędrowców, co z najodleglejszych stron świata nieraz tłumnie ciągnęli do Piotrowego grodu. Nosił on okolisty kapelusz, jako tarczę przeciwko słonecznym grotom w mozolnéj przez Alpy i Apeniny przeprawie, wielką pelerynę naszywaną muszlami, sążnisty kostur, na którym zawieszona była łagiew z kordyałem, dla pokrzepienia zwątlonych sił, ilekroć ustawał na drodze; z pod peleryny spadał pasek św. Franciszka, wielka siwa broda przewiewała mu po piersiach, a z pod niéj przezierały szkaplerze. Opierał się jedną ręką na kiju, w drugiéj zaś trzymał długi rożaniec, na którym dochodząc już do bram wiecznego miasta odmawiał *Te Deum*, zamiast *Zdrowaś*, często oczy zacieniając dłonią, by lepiéj przejrzéć wskróś słonecznego olśnienia, a potém bijąc się w piersi i powtarzając: Rzym!... Rzym!....

Tą samą drogą, ale w przeciwnym kierunku, postępował także samopas naprzeciwko pielgrzyma duchowny podeszłego wieku, w białym habicie z peleryną, jak ją plebani zwykli nosić we Włoszech. Dziwny wyraz powagi, łagodności i dobroci ożywiał jego rysy. W dali ciągnęło kilka czworokonnych karet, szło kilku fioletowo odzianych prałatów, i błyszczały na słońcu pozłociste hełmy i dobyte koncerze gwardyi szlacheckiéj. Wszystko to się snuło jak widzenie przed naszym starcem, który bacząc że się zbliżają jacyś biskupi, nie zwrócił nawet uwagi na duchownego przodem idącego. Ten jednak, zoczywszy sędziwego pątnika, przywitał go uprzejmém skinieniem głowy i słodko doń przemówił:

— Witaj dziaduniu! a zkąd to Pan Bóg prowadzi?

Pielgrzym nasz, który rozumiał włoszczyznę w skutek pieszéj po półwyspie wędrówki, ale któremu i łacina nie była obcą, ile że za młodu do szkół jezuickich uczęszczał, sądził że dochodząc do Rzymu, stosowniéj było po rzymsku się odezwać, i przeto w języku Cezarów odpowiedział duchownemu:

— Z Polski, księże plebanie, z pod stołecznego miasta Krakowa. A czy tędy droga do Rzymu?

— Tędy, odrzekł, ale wcale nie kuchenną łaciną, uprzejmy kapłan, ruszaj tylko prosto, a kiedy dojdziesz, pytaj zaraz u bramy *o Trinità dei Pellegrini* (dom gościnny dla pielgrzymów), i powiedz że cię przysłał pleban z Lateranu, a zaręczam cię ze będziesz dobrze przyjęty ...

Staruszek podziękował i kroczył daléj, zażenowany nieco owym nadchodzącym orszakiem biskupów i generałów (tak mu się bowiem widziało), kiedy spostrzegł, że wszyscy obracali się ku onemu duchownemu, że lud z domów wybiegał i klękał po opłotkach, a kobiéty, korząc się po drodze i wznosząc drobne dziatki na rękach, wołały:

— Santo Padre! la benedizione!

Zrozumiał wtedy dopiéro, że ów pleban z Lateranu był samym papieżem, i wracając się nagle, począł biedz za ojcem św., wołając ile mu płuc starczyło:

— Si es Dominus Papa, benedic mihi!

Ale Pius IX postępował sporym krokiem, odległość była znaczna, a starzec, przy pomocy nawet kostura, którym bieg swój przyspieszał, zostawał jeszcze daleko od ojca św. Czując wtedy że ustaje i że pogoń w zgrzybiałości nie popłaca, zebrał ostatni szczątek głosu, i zawołał rozpaczliwie:

— Stój, błogosław!.. stój, błogosław!..

Papież nareszcie usłyszał i stanął, a starzec, uderzywszy twarzą o ziemię, wlókł się krzyżem aż do stóp jego, zamiatając kurzawę siwą brodą i płacząc jak dziecię... Wszystkich ta scena głękoko wzruszyła i odesłano poczciwego pielgrzyma hojnie uraczonego.

Zima atoli, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, będzie milczącą i napiętnowaną surową powagą wielkich wypadków, które zaszły i zachodzą dotąd na półwyspie. W życiu publiczném, spotęgowaném ogólném podniesieniem ducha i szarpaném niecierpliwością i oczekiwaniem, nie ma miejsca na rady płochości i na motyli rój światowych zabaw. Dla niesłychanéj ciężkości czasów, żaden zapewne rzymski dom nie otworzy się téj zimy; ciężar bawienia towarzystwa spadnie przeto całkiem na poselstwa zagraniczne i na królowę Maryą Krystynę, jeżeli wróci tego roku.

Wdowa Ferdynanda VII przedłuża rolę, jaką przed laty odegrywały w Rzymie i do jakiéj Rzym przyzwyczaiły jak do starodawnéj tradycyi, mnogie jéj poprzedniczki: Krystyna szwedzka, Marya Kaźmira królowa polska, Klementyna Sobieska królowa angielska, a niedawno nareszcie księżna saska, które wszystkie szukały we wieczném mieście spokojnéj przystani wśród politycznych burz i cienistego przytułku, w którymby nagość ukoronowanych niegdyś skroni nie stała się widowiskiem dla ciekawéj ulicy. Marya Krystyna nabyła pałac na téj saméj ulicy, gdzie mieszkała Marya Kaźmira Sobieska i gdzie jéj herby widne dotąd. Pałac ten ogromny, własność niegdyś rodu Albanich, odnowiony i przeobrażony kosztem Krystyny zupełnie, piętrzy się znowu w pełni swéj staroświeckiéj architektonicznéj piękności i okazałości, pomnożonéj wszystkiém, cokolwiek wynalazki i przemysł stworzyły ku ludzkiéj wygodzie. Dawne pomieszkanie kardynała Albani, legata w Polsce za Augusta II, ożywi się wkrótce po wiekowych pustkach i ciszy i zabrzmi hucznym odgłosem rautów i balów, całym szumem światowego wiru, na téj pustéj i odludnéj kwirynalskiéj ulicy, gdzie tylko widać same klasztory.

Najważniejszym wypadkiem bieżącym jest ślub w tych dniach nastąpić mający księcia Napoleona Bonapartego, młodszego syna księcia Lucyana, z księżniczką Krystyną Ruspoli. Będzie to młode stadło, nazbyt rzekłbym młode, gdyby system żenienia się wtedy, kiedy u nas młodzieniec nie ukończył jeszcze uniwersytetu, nie był powszechnie przyjętym w téj części Włoch. Książę nie dobiegł jeszcze dwudziestego piérwszego roku wieku swego, księżniczka zaledwie szesnasty rozpoczęła. On wyższy nieco wzrostem od Napoleona I i ciemniejszéj niż ten cery, przypomina zresztą w tak uderzający sposób swego stryja, iż zda się wyszłym z ram swoich wizerunkiem młodego dowódzcy z pod Arcole. Ona zaś piękna, wysmukłéj i strzelistéj kibici, jak kwiat aloesu, marmurowéj białości i jasnych włosów, gdyby madonna umbryjskiéj szkoły, zdaje się bladym promieniem księżyca, zabłąkanym pomiędzy śniade odblaski włoskiego słońca. Młodzi małżonkowie, nie mając osobnego w Rzymie pałacu, zamieszkają w ślicznéj willi, którą książę posiada koło *Porta Pia*.

BIBLIOTEKA RACZYŃSKICH W POZNANIU.

Tyle zasłużony w dziejach piśmiennictwa polskiego Edward hr. Raczyński, między licznemi pamiątkami, zdobiącemi po dziś stolicę w. ks. poznańskiego, zostawił godną siebie fundacyą, która na długie lata będzie żywym dowodem szlachetnych jego dążności i żądzy dobra ogólnego. Mówić tu chcemy o bibliotece publicznéj w Poznaniu, nazwanéj od imienia założyciela „Biblioteką Raczyńskich“. Załączona tu rycina przedstawia wspaniały jednopiętrowy gmach, przypominający smak włoskich pałaców, wzniesiony w najpiękniejszéj części miasta, przy placu Wilhelma.

Pałac ten, pierwotnie odmiennéj nieco struktury, podarował Raczyński w 1829 r. Poznaniowi, przeznaczywszy go na bibliotekę miejską publiczną; późniéj przerestaurował go i powiększył do tych rozmiarów, w jakich teraz istnieje. Jako piérwszą podstawę zbioru, który miał się z czasem powiększać, złożył w bibliotece 30 tysięcy ksiąg, między niemi 5000 w języku polskim i 300 rękopisów. Pragnąc zaś fundacyą swą zabezpieczyć, zapewnić jéj wpływ i pomoc nau-

kową, opatrzył ją funduszem 25 tysięcy talarów, od których procent obracany jest na nabywanie nowych dzieł i pokrycie kosztów utrzymania. Jak dalece Raczyńskiemu szło o zachowanie i podniesienie zakładu, dowodzi to, że zajmując w tymże gmachu dolne pomieszkanie, płacił z niego do kassy biblioteki komorne, w ilości 900 talarów rocznie.

Biblioteka otwartą została dla publiczności dnia 5 maja 1829 r. Pomieszczoną jest na piérwszém piętrze,

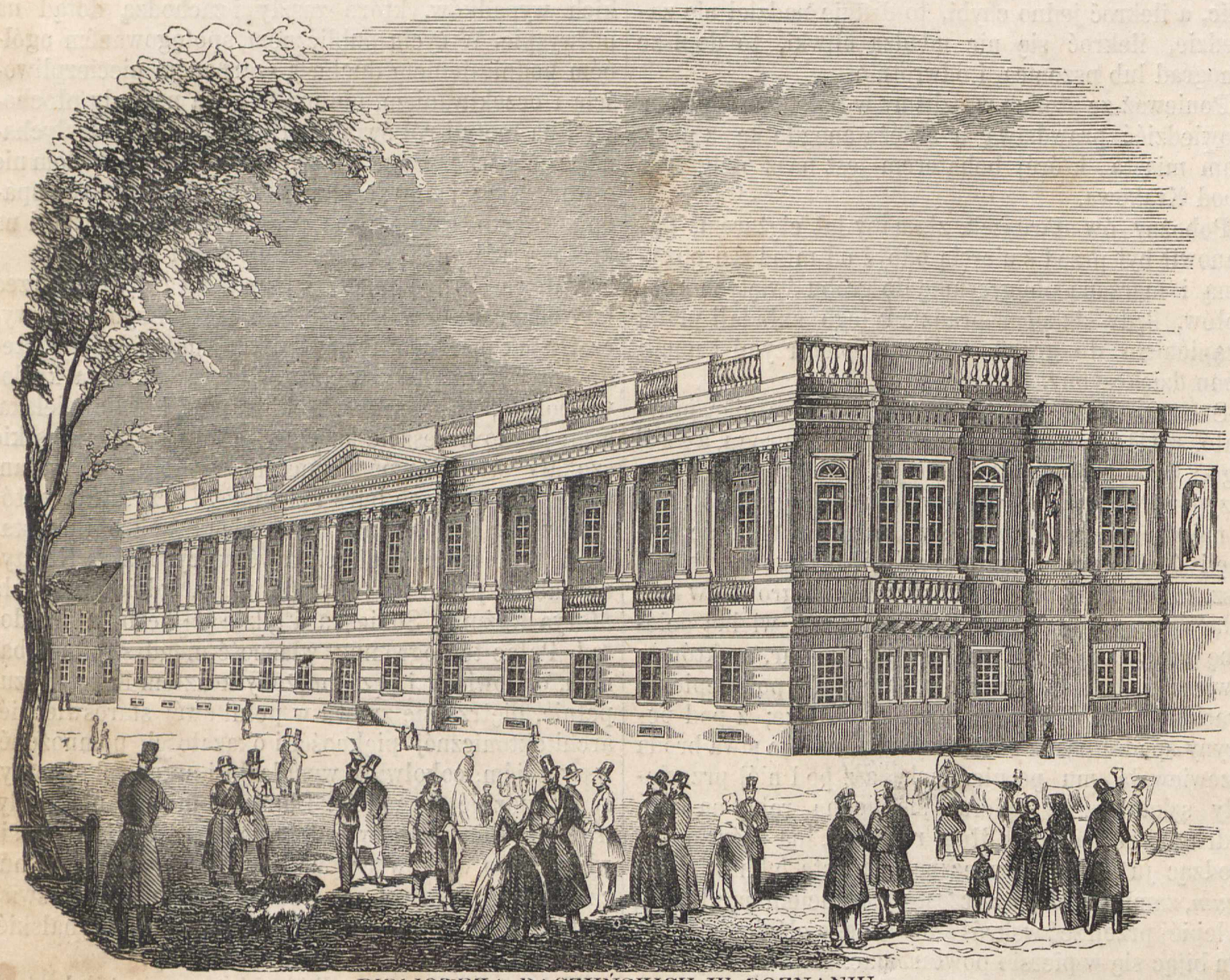

BIBLIOTEKA RACZYŃSKICH W POZNANIU.

w cztérech obszernych salach, zastawionych szafami, w których mieszczą się dzieła dotyczące: teologii, historyi powszechnéj i polskiéj, oraz pomocniczych jéj nauk, filozofii, medycyny, matematyki, nauk przyrodzonych, strategii, budownictwa i t. p. W górze ponad szafami porozwieszane są wizerunki osób familii Raczyńskich i połączonych z nią domów, pomiędzy któremi są znakomite w dziejach polskich figury. Cały zbiór opatrzony jest dokładnemi, szczegółowemi katalogami.

Oddzielną wielką salę przeznaczono na czytelnię, otwartą codziennie od godziny 5 do 8 wieczorem: dziś przesiaduje w niéj najwięcéj młodzież szkolna poznańska. Bibliotekę, liczącą teraz przeszło 40 tysięcy dzieł, pomnażają ciągle nowe nabytki; przeniesiono do niéj część księgozbioru z Rogalina, o którym wspomnieliśmy w jednym z poprzednich numerów naszego „Tygodnika.“

Obecnie połowę jednę dolnego apartamentu w pałacu zamieszkuje syn założyciela, hr. Rogier Raczyński, drugą zajął zarząd biblioteki. Śmierć hr. Edwarda nie pozostawiła jéj bez opieki i starań o wzrost i utrzymanie. Nad własnością fundacyi, jéj całością i zarządem, czuwa kuratorya, złożona z dwóch osób należących do rodziny Raczyńskich, z naczelnika rządu w w. ks. poznańskiém i starszego burmistrza miasta. Obowiązki bibliotekarza (kustosza) objął ostatecznie sędziwy i zasłużony w literaturze polskiéj b. professor, obecnie emeryt, Popliński, który z całą gorliwością przeprowadza myśl czcigodnego założyciela, aby zakład ten stał się pomocą naukową każdemu, kto szukać jéj w nim zechce.

ZAMEK PIASTÓW W LIGNICY.

Straszliwa szarańcza, wylegla na stepach środkowéj Azyi, gnana niepojętym popędem, niezmiernemi chmurami runęła na ziemie słowiańskie. Rozhukanéj dziczy Mogołów nie zdołały zatrzymać ani wysokie góry, ani ogromne rzeki, ani słaby Rusinów opór. Kijów, Włodzimirz, Halicz i Kamieniec zamieniły się w kupy popiołów; rozdzieliły się roje łupieżców i jedna ich połowa poszła pustoszyć Węgry, druga zalała Polskę. Z pomiędzy miast naszych piérwszy Zawichost i Lublin zakosztowały miecza i żagwi mogolskiéj. Nad całą Polską czerwieniły się łuny, a dzieci jéj srodze mordowano.

Bolesław Wstydliwy uszedł przerażony do Węgier, zostawiając swe ludy na łup dziczy. Rozgromieni Krakowianie i Sandomierzanie pod Chmielnikiem, ściągali się ku Lignicy, gdzie Henryk Pobożny gromadził potężne zastępy na powstrzymanie wroga.

Pobożny książę przywdział zbroję naddziadów, ujął kord dzielny i stanął na czele chrześciańskich rycerzy. Pod jego znaki przybył Bolesław Szepiotka z krzyżownikami, których tu zgromadził głos papieża; przyłączyli się do niego Złotogórscy górnicy. Sulisław wiódł Krakowian i Sandomierzan; Poppo, drugi mistrz krzyżacki, prowadził rycerstwo zakonne, a Mieczysław, książę opolski i raciborski, przywiódł Szlązaków, oswojonych już w świeżo nad Odrą stoczonéj bitwie z dziczą azyatycką.

Tymczasem Mogoł w perzynę obrócił Wrocław i ścisnął zamek, ale go zdobyć nie mógł. W zamku przebywał naówczas św. Czesław i gorącą modlitwą błagał o jego ocalenie. W pieśni o Henryku Pobożnym, któréj kilka pięknych ustępów w niniejszym artykule podajemy, chwilę tę tak opisuje Bielowski:

„Z zamkowych wieżyc modlił się mąż święty,
Czesław, i białą rozrzucił kapicę:
Ku niebu ręce, ku niebu źrenice,
I w szczerych modłach posłał duszę całą.
Wołał do Boga, a serce płakało;
Za lud swój błagał, i słychać wołanie
Korne i czyste: „Nie nam, nie nam Panie!“
Czerniały w koło pogan koczowiska,
Aliści w północ dziwna światłość błyska,
I cały obóz gra w płomiennéj fali:
Pohańce przez sen za łuki porwali,
Żar im doskwiera, ślepi blask promieni,
W skok bieżą k'Nisie jak psi oparzeni.“

Było to 15 kwietnia 1241 r. Henryk Pobożny w kościele Panny Maryi błagał Boga o powodzenie chrześciańskiemu orężowi. Wtém mu znać dano że od wschodu widne już pojedyncze kupy Mogołów.

Wtedy książę opuścił świątynię Pańską, a gdy dosiadł konia i chciał naprzód ruszyć, spadł wielki kamień ze szczytu kościelnéj wieży i omal go nie ubił. Ścisnęła boleść niejednę pierś mężną, bo uważano to jako znak niepomyślnego końca walki.

Zajęły hufce chrześciańskie pole zwane *dobrem*. Henryk podzielił swoje hufce na pięć oddziałów, jednemu z nich przewodził Bolesław, dwom drugim Sulisław z Mieczysławem, czwarty prowadził mistrz Peppo, a piąty, z kwiatu rycerzy szlązkich i małopolskich złożony, sobie samemu pozostawił.

Ustawił oddziały te w trójkąt, którego bok ku wrogom zwrócony stanowiły dwa piérwsze hufce, daléj dwa następne, a wierzchołek Henrykowe zajmowało rycerstwo.

Bajdar z Kajdanem podobnież podzielili i ustawili swe hordy, ale każdy z ich pięciu oddziałów przenosił liczbą całe wojsko chrześcian, chociaż je liczono na 40,000.

Zabrzmiały pobożne pienia rycerzy i zlały się w jedno z wyciem hord azyatyckich; strzały mongolskie zaciemniły słońce i rozpoczęła się straszliwa walka. Bolesław piérwszy natarł; ale jego wojownicy, mniéj wprawni w boje, rychło ulegli pod orężem ćmy najezdniczéj. Wtedy Henryk dał znak, a Mieczysław i Gryf uderzyli na wroga. Polskie miecze Szlązaków i Małopolan dokonały porażki piérwszego, a rozbiły drugi zastęp Mogołów. Zachęceni tém, potężnie uderzają na trzeci; ale nagle wśród szeregów chrześciańskich rozlega się okrzyk: *behajte! behajte!* (uciekajcie). Stropione tém zdradzieckiém hasłem szyki polskie ustępują, i wkrótce, popłochem ogarnięte, opuszczają pole bitwy. Wówczas następuje sam Henryk. Rycerstwo polskie i Popponowe Krzyżaki rozbijają trzeci zastęp pogański. Chwieją się Mogoły, zdaje się że książę

WISZĄCY

tryumf odniesie. Lecz niespodzianie, w pośród wiru najzaciętszéj walki, ukazuje się straszliwa chorągiew, na któréj była litera grecka X, a na wierzchu głowa człowiecza, z brodą długą, z któréj ust wychodził dym czarny i duszący. Zjawisko to tak opisuje poeta:

Na wiatr długiemi podlatuje skrzydły
Sztandar, nie sztandar, potwór to przebrzydły.
Skocznemi łapy rozparł się u spodu
Wiatrak, u góry czarne łbisko, czarna broda,
Żarem mu oczy płonęły, a z garła
Szła noc i w koło kiry rozpostarła.
Podziwem zjęte hufy osłupiały:
A grzmią tatarskie szable, świszczą strzały,
Wzniósł imię Pańskie, okiem wzgardy zmierzył
Marę i z pocztem o tłumy uderzył
Henryk: szeroko szczęk się rozległ stali,
Długa kopija wrogów o ziem wali;
Zdeptał huf przedni i w środek się porze,
Gęste go tłumy połknęły jak morze.

Próżna była waleczność księcia, bo hufce chrześciańskie, długą zmordowane walką i przerażone widokiem strasznego zjawiska, które za dzieło czarta poczytały, pierzchają. Henryk samoczwart usiłował się przedrzéć przez otaczających go zewsząd Mogołów, ale gdy wzniósł prawicę na zastępującego mu poganina, drugi wbił mu pod pachę spisę i z konia strącił. Tak legł książę polski, za swój lud i wiarę Chrystusową. Poeta-historyk tak zakończa opis téj rzezi:

Na błoniu gęsto trupami zasłaném,
Ucztuje Peta zwycięzki z Kajdanem.
Końskich tam pieczeń dostatkiem, a rzéką
W bawolich rogach końskie płynie mléko.
Nim się ostatnią rozdzielą zdobyczą,
Obeślą pole i poległych liczą.
Z ostremi noży poczet idzie skory,
Po jedném uchu tnie i składa w wory.
Uczta skończona, wniesiono ze zbiorów
Książęcą głowę, uszu dziewięć worów.

Mogołowie, chociaż zwycięzcy, nie posunęli się daléj na zachód. Ta sama siła niewytłumaczona która ich parła naprzód, popędziła napowrót hordy do ich odległych siedzib, po drodze tylko spustoszyli Morawy i po drugi raz Węgry nieszczęśliwe.

Pamięć téj krwawéj bitwy żyje dotąd w ustach górników złotogórskich. Mieszkańce dzisiejszéj Lignicy żyją wesoło i spokojnie, myśląc tylko o handlu, fabrykach i kapitale. Stoi jeszcze zamek, w kształcie jak go przedstawia załączony drzeworyt, lecz nie ten sam w którym rządził syn św. Jadwigi, przebudowała go późniejsza ręka. „Dobre pole“ tylko jak dawniéj barwi się kwiatami, rosnącemi bujnie na grobowcach poległych rycerzy; mija je i depcze obojętnie przybysz z zachodu, na polskiéj rozsiadły ziemi; słowiański tylko wędrowiec uczci westchnieniem i modlitwą walecznych, co krwi w obronie chrystyanizmu i ziemi swéj nie szczędzili. Najwymowniéj zamknie opis téj wiekopomnéj bitwy ustęp, którym Bielowski cudną pieśń o Henryku Pobożnym kończy.

Mężnym, co legli w imię Zbawiciela,
Wiecznie się błonie murawą zaściela,
I wonne rosną kwiaty; a dla Piasta
Ołtarz w wrocławskiéj świątnicy wyrasta;
Pobożna ręka we wieńce go stroi.
I patrz, powstaje walecznik we zbroi.

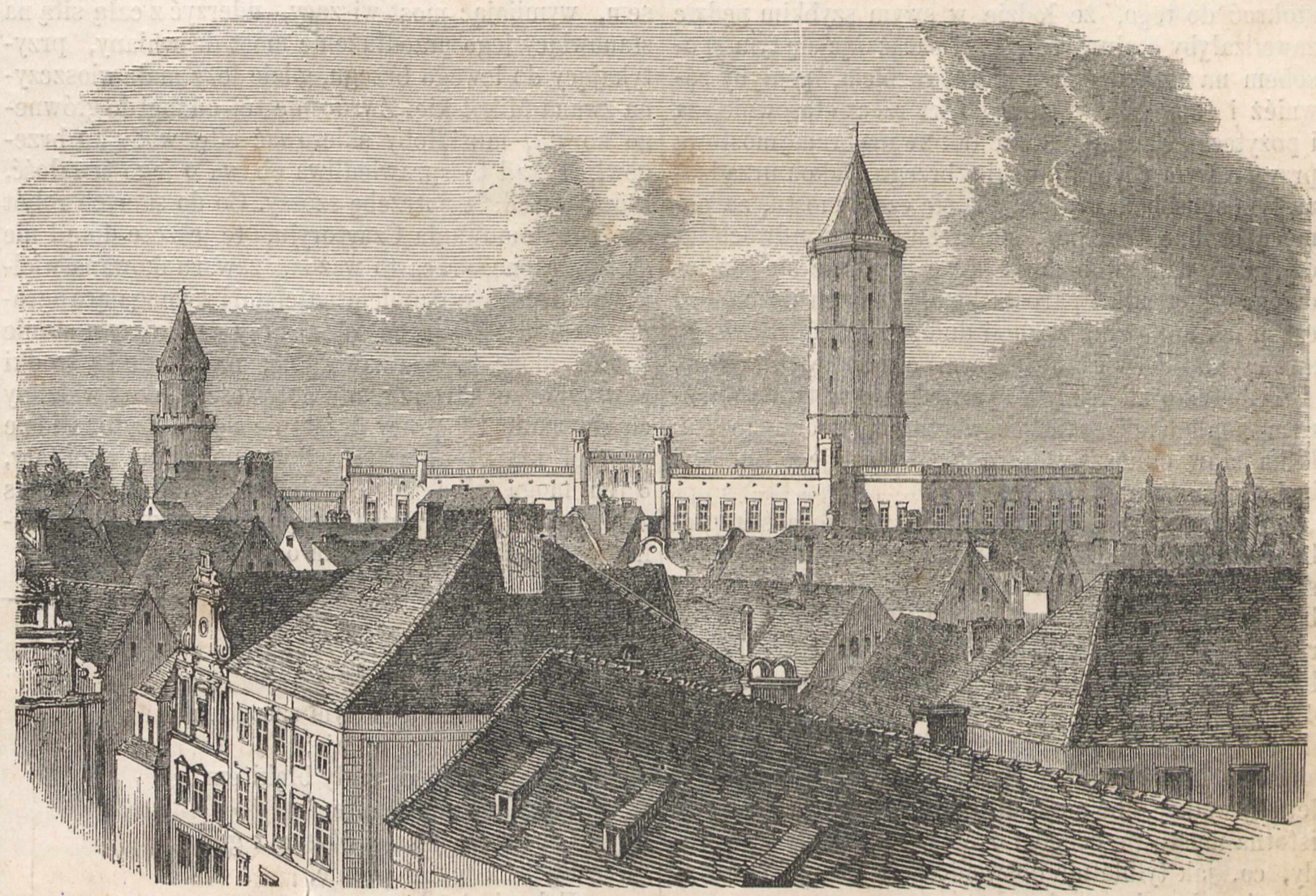

ZAMEK PIASTÓW W LIGNICY.

To on! toż czoło, ta źrenica modra,
Na zbroj opadły kędzior, kord u biodra,
Sążnista w krzepkiéj prawicy kopija,
Zdeptany Tatar pod nim w kłąb się zwija.
Błogo po burzy przyświéca zaranie,
A w koło księża pieją zmartwychwstanie.

WISZĄCY MOST W KIJOWIE.

Wiszący most, zbudowany na Dnieprze około Kijowa, wyrównywający swą pięknością i śmiałością pomysłu najwspanialszym zagranicznym, jest bez wątpienia jedną z najpiękniejszych nowożytnych ozdób, sławnego historycznemi pamiątkami miasta. Ale pomijając jego estetyczną stronę, nie można przepomnieć o tych niezaprzeczonych korzyściach, jakie przyniósł dwóm sąsiednim prowincyom, które nurty Dniepru rozdzielały. Któż nie pamięta, któż nie zna przeszkód, jakie ta rzeka, tyle groźna w czasie swego wezbrania, stawiała wszelkiego rodzaju handlowym i często prywatnym kommunikacyom? Któżby dziś mógł obrachować te niczém niepowetowane, materyalne straty, to mnóstwo ofiar jakie corocznie niemal pochłaniał w swych głębiach ów Dniepr szeroki, który obecnie przecięty mostem wspaniałym, daje tyle ozdobnych i czarujących, w czasach zwłaszcza swego wezbrania, widoków? Dziś, mając przed oczyma to piękne dzieło sztuki i umiejętności ludzkiéj, łatwo przepominamy o tak niedawnych jeszcze zawadach, a przecież, chcąc ocenić prawdziwą wartość tego monumentalnego dzieła, powinnibyśmy je miéć ciągle na myśli. Wartość i użyteczność każdéj ludzkiéj roboty, łatwiéj się i umiejętniéj ocenia przez porównanie z niedogodnością, jakiéj się doznawało w jéj braku; a gdzież bardziéj, jeżeli nie w danym tu razie, porównanie to może przemawiać na korzyść tyle zdumiewającéj i użytecznéj pracy?

KIJOWIE.

Ale przejdźmy do faktów. Wiszący most kijowski, którego budowa, rozpoczęta w r. 1848, ukończoną została w r. 1853, postawiony jest przez znakomitego angielskiego inżeniera Vignol'a, według amerykańskiego systemu, z urządzeniem przy nim bardzo trwałych, ciosowych, nadbrzeżnych przyczołków, w taki sposób, iż te służą nietylko do dogodnego z obu stron wjazdu, ale i wytrzymywać mogą wystrzały z dział, co właśnie, przy nakreśleniu pierwotnego planu, miano na celu. Oparty jest na wspaniałych słupach, z których każdy znów spoczywa na ciosowych fundamentach, wystających na taką wysokość, do jakiéj sięgała woda w czasach największych wezbrań, w 1784, 1785 i 1786 latach. Długość całego mostu, licząc w to nietylko tę część jego, która, przecinając odnogi Dniepru, stanowi z nim jednolitą całość, wynosi 450 sążni; szerokość zaś, wraz z urządzonemi po obu stronach chodnikami, z których każdy ma po 4 stopy, obejmuje 32 stopy.

Środkowy przejazd rozdzielony jest na dwie połowy, po 12 stóp szerokie; jedna z tych połów służy dla przyjeżdzających, druga dla wyjeżdżających. Wysokość samego pomostu podniesioną jest o 5 i pół sążni nad zwykły stan wody. Że zaś tak zwane berlinki i bajdaki, któremi się głównie odbywa żegluga dnieprzańska, dźwigając na sobie piérwsze po jedenaście, drugie do ośmnastu tysięcy pudów ciężaru, miewają maszty o wiele wyższe, wzięto więc najprzód tę okoliczność pod rozwagę. Sądzono zrazu że dość będzie zobowiązać żeglarzy, aby mieli na swych łodziach maszty spuszczane. Że jednak urządzenie takich ruchomych masztów, przy znacznéj ich wysokości, a nad-

to opuszczanie ich i podejmowanie przy przejściu po pod most, niemogłoby się było obejść bez znacznéj straty czasu i utrudniałoby jeszcze bardziéj i tak już z natury swéj mozolną żeglugę na Dnieprze, zdecydowano tedy, aby jedna część mostu roztwierała i zamykała się sztucznie, dając tym sposobem swobodne przejście łodziom wszelkich rozmiarów i o najwyższych masztach. Przejście to i otwór chciano najprzód urządzić w środku mostu; mając jednak na względzie znacznie większą głębokość i pęd wody na środku niż przy brzegu rzeki, coby się mogło przyczyniać częstokroć do tego, że łodzie w swym szybkim pędzie zawadzałyby o słupy mostu, i narażając się tym sposobem na uszkodzenia a nawet rozbicia, psułyby również i same słupy, uznano za rzecz stosowniejszą i pożyteczniejszą zbudować tak zwaną bramę mostową przy prawym czyli kijowskim brzegu. Jakoż urządzona tym sposobem otwierająca się część mostu, za pomocą osobnéj machiny, potrzebującéj siły dwóch ludzi, daje dziś swobodne i łatwe przejście nie już łodziom tylko, ale i parostatkom, których liczba, od czasu jak kompania żeglugi dnieprzańskiéj rozwinęła swe czynności (w roku bieżącym) coraz się powiększa.

Tyle tylko mieliśmy do powiedzenia w tym pobieżnym poglądzie o saméj zewnętrznéj stronie mostu; kilka słów odnoszących się do historyi jego budowy, będą tu może na miejscu.

Przy rozpoczęciu robót około wiszącego mostu, głębokość rzeki, na całéj jego przestrzeni, nie przewyższała 2 sążni w czasie letniéj wody. Największa głębokość była przy prawym czyli kijowskim brzegu, którego grunt stanowi glina, z lewéj zaś strony, do połowy rzeki, głębokość była bardzo małą, bo tylko na 4, 3, 2, 1, $^1/_2$, i nawet $^1/_4$ arszyna. Dno Dniepru składa się głównie z napływowego piasku, do znacznéj sięgającego głębokości. Szerokość rzeki, przy małéj letniéj wodzie, obejmuje 400 tylko sążni; długość więc istotna mostu przechodzi o 50 sążni zwykły stan wody, co, jak tyloletnie doświadczenie pokazało, dostatecznie zabezpiecza od wylewów.

Fundamenta przyczółka z prawéj strony postawiono na gliniastym i suchym prawie gruncie, tak iż właściwie część tylko piérwszego przęsła wznosi się ponad wodą; z lewéj zaś strony dwie ostatnie arkady spoczywają na gruncie twardym i zupełnie odkrytym w czasie letniego stanu wody.

W piérwszym roku budowli mostu, urządzono w czasie letniego stanu wody skrzynie na fundamenta słupów, w kwadratowym prawie rozmiarze, z palów nabitych we dwa rzędy; dwie jednak z nich przy wylewie wiosennym zostały zupełnie zniszczone.

Wśród nadzwyczajnych trudności przystąpiono potém do wypompowania wody ze skrzyń. Trudności te ztąd pochodziły, że piasek co się tam był nagromadził nie stężał, był bardzo rzadki, i woda się przezeń sączyła w takiéj ilości, iż ani robotnicy, ani machina umyślnie na ten cel sporządzona, nie byli w stanie ją wypompować. Kilka nawet razy woda się wciskała tak niespodzianie, że robotnicy zaledwo umknąć i ocalić się zdołali. Ta okoliczność wywołała potrzebę wbijania trzeciego rzędu palów i zasypania całéj między niemi przestrzeni. Vignol, walcząc tym sposobem w ciągu całego lata z trudnościami, pokonał je dopiéro około jesieni i postawił fundamenta słupów.

To przypadkowe zdarzenie, bynajmniéj nieprzewidziane przez budowniczego, przyczyniło się do większéj trwałości fundamentów; są téż dziś one o dwa z górą sążnie głębsze jak piérwotnie zamierzono. Po postawieniu fundamentów i wzniesieniu na nich słupów, dalsze roboty już poszły prędko i łatwo, tém bardziéj że części żelazne zostały zawczasu w angielskich fabrykach zamówione i w porę sprowadzone. Zaciągnienie żelaznych łańcuchów, na których wisi most, i oparcie ich na dość wysoko wzniesionych bramach mostowych, nie obeszło się również bez trudności; te jednak nikły zupełnie, w porównaniu z nieprzybytemi niemal zawadami przy założeniu fundamentów do słupów.

Mając na względzie wielkie wezbrania Dniepru w wyżéj przytoczonych latach, w skutek których psuł się ciągle prawy brzeg rzeki, wzmocniono go, jednocześnie z budową mostu, trwałą szossą, wystającą nad poziom wody na dwa z górą sążnie. Szossa ta, wzmacniając tym sposobem prawy brzeg rzeki, stanowi dość dobry przejazd do mostu i służy razem za piękny nadbrzeżny bulwar. W roku bieżącym ukończono zupełnie roboty około dalszego przeciągnienia téj szossy, trzymając się zawsze prawego brzegu, przytykającego do części miasta zwanéj Padołem. Ta nowa droga utworzyła zarazem i dobrą przystań, około któréj dogodnie się lokują parostatki i berlinki. Wzmacniając tym sposobem prawy brzeg rzeki, miano jeszcze na względzie nader ważną okoliczność. Główne koryto Dniepru, w pobliżu Kijowa, tworzy już od lat wielu coraz to głębszą odnogę, zwaną Czartoryjem. Okazała się przeto nagląca potrzeba położenia tamy nienaturalnemu kierunkowi wody, który przybierając z każdym rokiem większe rozmiary, mógłby z czasem, wymijając most wiszący, uderzyć z całą siłą na stanowiący jego przedłużenie most drewniany, przytykający do lewego brzegu, gdzie leży mała wioszczyna zwana Mikolskie. Zwrócenie téj odnogi do głównego koryta, musiałoby skierować siłę wody ku brzegowi, i ztąd to sprawiedliwa obawa o jego trwałość, która wywołała potrzebę szossy. Co do samych robót około zatamowania Czartoryju, te jeszcze dotąd nie są skończone; praca to ważna, zawarunkowana wielkiemi specyalnymi umiejętnościami i wymagająca ogromnych wydatków. Piérwsze, przy dzisiejszym stanie nauki, mogą być na zawołanie; na drugie są środki i wszelka ze strony rządu gotowość. Jakoż widzimy ciągłe około téj pracy krzątanie się, a czy ona idzie dobrze, czy zapowiada prędkie, pożądane rezultaty, o tém mogą tylko sądzić technicy i specyaliści. Czas zresztą, ten najsprawiedliwszy sędzia wszystkich ludzkich czynności, najlepsze da o tém świadectwo.

TESSALIANKA.

Ponad Olimpu cichym szczytem
Ogniste słońce wstaje;
Owiane drżącéj mgły błękitem,
Tessalii szumią gaje.
Lecz coraz jaśniéj błyska z góry,
Egejska topiel płonie,
Falami złota i purpury
Szemrzące płyną tonie.
Wtém Tessalianka czarnowłosa,
Z cichéj wybiega chaty,
Z wiatrem rozchwiana leci kosa,
I białe fale szaty.
Aż wybieżała na szczyt wzgórza,
Skały wyżynę dziką,
Wzrok gdzieś w potokach świateł nurza,
Pierś jéj drga pod tuniką.
„Kto cię tak dziewko zbudził wcześnie,
Z pod śnieżnéj twéj kotary?
Czy cię słowicze wabią pieśnie,
Czy cichych dumań czary?
Może ty w gaju nad potokiem
Poranku pić chcesz wonie,
Gdzie pod ognistem Feba okiem
Wstydliwa Dafne płonie?
Tam Zefir, drżące chyląc kwiecie,
Skroń ci uperli rosą.“
„Na dzikiéj skały nagim grzbiecie
Nogą stanęłam bosą;
Bo z laurowych rosa kwieci,
Jak łza się lśni zdradziecko;
Niech z Termopilów wiatr przyleci
Pierś mi owionąć grecką.“
„Lecz zkąd tak rąbek drży u łona,
Twarz pali się rumieńcem?
Pewno ty czekasz utęskniona,
Za lubym ci młodzieńcem,
I wzrok po modréj puszczasz dali,
Czy biały żagiel płynie?“
„Siostrzyca Klefta, czekam fali,
Co drga przy Salaminie.
Fala ta cicha, choć spieniona,
Wzdłuż greckich brzegów bije,
Białe zanurzę w niéj ramiona,
Czarną w niéj kosę zmyję.
A kiedy wyjdę z téj kąpieli
Na złote ognie słońca,
Jak Niobe, w czystéj stanę bieli,
Marmurów blaskiem lśniąca.
Bo wszystka greckiéj krwi purpura
U serca mi się zbierze;
Wtedy czarownic starych córa
W drgającą pierś uderzę,
A strasznéj klątwy jęk tak głuchy,
Poranku zabrzmi ciszą,
Że wszystkie staréj Grecyi duchy
Od razu mnie usłyszą.
I z niebios, ziemi, gór, przepaści,
Moc taka wyjdzie święta,
Że na pół-Bogów znów namaści,
Ilotów niemowlęta!

Marya Ilnicka.

Myśli oderwane.

Opinia i termometr. Kiedy coraz częściéj i głośniéj daje się słyszéć powtarzanie wyrazu *opinia*, nie od rzeczy może będzie porozumiéć się względem właściwego znaczenia tego wyrazu. Bo kto uważniéj przysłuchał się brzmieniu jego w ustach ogółu, przyzna zapewne, że większa część jak niedokładnie pojmuje znaczenie tego wyrazu w teoryi, tak błędnie stosuje go w praktyce. Zdaje się, że opinia ma wiele podobieństwa z termometrem.

Jak termometr jest miarą oznaczającą stopień ciepła w daném miejscu, tak opinia, jako sąd o pewnym np. człowieku, jest miarą jego moralnéj wartości. Jak termometr ulegać może rozlicznym wpływom, które sprawiają, że na wskazówce jego pomylić się można, tak samo ma się z opinią. W najchłodniejszym pokoju umieśćmy termometr w blizkości pieca tylko co opalonego, ogrzejmy go chwilowo czy tchnieniem, czy w inny sposób, to wskaże on wyższy stopień ciepła, niż go znajdziemy w dalszych zakątach pokoju, i zawiedlibyśmy się bardzo, gdybyśmy nie wejrzawszy w rzecz głębiéj, spuścili się na wiarę termometru. Tak samo, rzucając w oczy ogółu jeden lub drugi fakt, mogący świadczyć o moralnéj naszéj wartości, wpłynąć możemy na podniesienie siebie w opinii powszechnéj, a ktoby z tego tylko brał miarę naszéj godności, gorzkiego może doznać zawodu. Wady i niedokładności w urządzeniu termometru mogą sprawić, że okazywana na nim miara temperatury nie jest rzetelną. Tak samo niedość ugruntowane, lub mylne zkądkolwiek pojęcia tych, których głosy na ogół opinii publicznéj składają się, pociągnąć mogą nierzetelność opinii, która prawdziwą zasługę poniżyć, mierność lub poziomość wynieść może zanadto. Nie przyczyni ani jednego stopnia ciepła w naszéj komnacie termometr, choćby przez wadę wewnętrzną, lub wpływ zewnętrznéj okoliczności, najwyższy stopień ciepła wskazywał. Tak samo nie podniesie istotnéj moralnéj wartości człowieka, choćby najchlubniejszy odgłos opinii publicznéj, jeżeli będzie ona wypływem bądź mylnych w zasadzie sądów, bądź omamienia, którém na utworzenie mylnego sądu wpłynięto. A jako rozsądny i dbały o wygodę gospodarz nie o to się stara, aby termometr jego pożądany stopień ciepła wskazywał, ale raczéj o to, aby atmosfera jego komnaty do potrzebnego stopnia była ogrzaną: tak rozumny i dbały o godność swą człowiek, nie o to się troska, aby głos opinii powszechnéj do pewnego stopnia na jego korzyść był nastrojonym, ale raczéj o to, aby myślą i czynem istotną wartość swoję do możliwéj podnieść potęgi. Nie gardzi dobry gospodarz tą wskazówką, jaką mu daje termometr o wysokości temperatury, a bacząc pilnie na każde obniżenie się płynu w rurce szklanéj zawartego, dokłada drewienko po drewienku do płonącego ogniska, a zawsze patrząc czy termometr umieszczony dogodnie, czy nie ma wady któraby pociągała nierzetelne okazywanie stopni. Tak samo człowiek nie może, nie powinien lekceważyć głosu opinii publicznéj, ale nastawiając bacznego ucha na każde tego głosu drgnienie, rozważać zarazem, czy wewnętrzne wady tego głosu, lub zewnętrzne wpływy nie sfałszowały jego brzmienia.

Nie wszyscy na to się zgodzą, a jeżeli niejeden i nie zarzuci fałszu tym słowom, nie chcąc zagłębiać się w teoretyczne badania, to bez wątpienia większa część w praktyczném stosowaniu wyrazu *opinia* różni się o całe niebo od zasad tu wyłożonych. Miłość własna zaślepia nas na blask prawdy, zagłusza na wołanie sumienia. Ten, zręcznie migocąc przed oczyma ogółu sztucznem światełkiem, naprowadza je na punkciki jaśniejszéj barwy, a każdą plamę troskliwie w cieniu ukrywa, i zbiéra sobie głosy zadowolenia lub podziwu. Ów idzie w tłum ślepych, i prawiąc im o cudownych barwach swych rajskich piórek, zyskuje przychylne okrzyki. I obadwaj zastawiają się tym głosem opinii publicznej, jak fałszywym patentem na miano zacnego człowieka, a sądzą się już wolni od wszelkiego zabiegu o istotne podniesienie swojéj zacności.

…o się zaszargał moralnym brudem do tyla, że nawet ślepi mogą domacać się jego szkarady, ten już bezczelnie gardzi głosem opinii, nie śmiąc odwoływać się do jéj sądu. Tak złéj wiary gospodarz, wprowadziwszy gościa do chłodnéj komnaty, stara się wmówić w niego, że dosyć jest ciepło i odwołuje się do termometru, który chowa w zanadrze swego kożucha, a jeśli umieszczony w miejscu właściwém termometr opada do zera, nie śmié już nań spoglądać i odwraca się z niechęcią.

Od pana Apollinarego Kątskiego otrzymaliśmy następującą odezwę:

DYREKTOR

INSTYTUTU MUZYCZNEGO WARSZAWSKIEGO.

Odbierane codziennie z różnych prowincyj kraju wiadomości, są najwymowniejszym dowodem żywego współczucia, jakie założenie Instytutu muzycznego w Warszawie obudzić zdołało w sercach lubowników i artystów muzyki.

Panowie lubownicy i artyści muzyki miast: Kijowa, Mińska, Wilna, Kamieńca Podolskiego, Lublina, Radomia i innych, raczyli oświadczyć się z gotowością przyjścia w pomoc nowo wznoszącemn się Instytutowi muzycznemu, urządzeniem na rzecz tegoż Instytutu koncertów.

Przejęty najżywszą wdzięcznością ku szanownym amatorom i artystom muzyki, i dziękując najczuléj za takowe poświęcenie, nie wątpię iż wszelkich dołożą starań, ku osiągnięciu pożądanego w tym celu skutku.

Poczytuję sobie za obowiązek podać do wiadomości publicznéj o tych dowodach współczucia, przekonany iż szanowni lubownicy i artyści innych miast kraju naszego, podobneż koncerta na cel powyższy urządzić zechcą.

Życzący przyjąć udział w tych zamiarach szlachetnych w wyżéj wspomnionych miastach, raczą porozumiéć się z osobami przezemnie do urządzania rzeczonych koncertów upoważnionemi, a mianowicie: z W. Kocipińskim, nauczycielem muzyki i właścicielem składu nót w Kijowie, z W. Przybora w Mińsku, z W. Bonoldim w Wilnie, z W. Stanisławem Mireckim w Kamieńcu Podolskim, z W. Adamem Krasińskim w Lublinie, jakotéż i z W. Lazzerinim w mieście Radomiu, co do koncertu w dniu 15 stycznia roku przyszłego tamże urządzić się mającego.

Apollinary Kątski.

ROZMAITOŚCI.

W miesiącu zeszłym Kuryer Warszawski (o czém wspomnieliśmy już w ostatniéj kronice tygodniowéj), doniósł o przypadku, jaki wydarzył się na drodze żelaznéj pod Piotrkowem, a który niewątpliwie do najosobliwszych w historyi kolei żelaznych policzony być może. Redakcya „Tygodnika“, otrzymawszy z urzędowego źródła szczegóły zdarzenia, którego wiarogodność słusznie zrazu była powątpiewaną, pospiesza z ich udzieleniem czytelnikom swoim.

Dnia 8 (20) listopada r. b., koło godziny 10 wieczorem, Wojciech Modrzejowski włościanin wiózł drzewo jednokonną furą. Podchmielony trunkiem, zasnął, a koń, samopas postępując, doszedł do otwartego przejazdu drogi żelaznéj, zwrócił się na jéj plant, uszedł około 50 sążni od domku dróżnika i zatrzymał się, stanąwszy na poprzek drogi tak, że przednia część wozu zajęła środek kolei. Wcześniej jeszcze dróżnik miejscowy obszedł tę część drogi swojéj i znalazłją w należytym porządku; po dostrzeżeniu więc znaków o wyjściu ze ztacyi Gorzkowice pociągu towarowego, zamknął przejazd, wystawił sygnał jazdy i zajął przy nim swoje stanowisko. Wkrótce zbliża się ów pociąg. Maszynista, widząc właściwe sygnały, jedzie ze zwykłą szybkością, aż do punktu gdzie światło rzucone przez latarnie parochodu, daje mu dostrzedz stojącą w poprzek furę. Stara się wtedy zahamować pociąg,... lecz już zapóźno, wstrzymanie onego nastąpiło dopiéro po przejechaniu znajdującego się na kolei wozu. Wtedy służba od pociągu zbiega się, szuka ze światłem przyczyny i skutków tak fatalnego wypadku i znajduje: wóz zgruchotany, drzewo rozrzucone, konia ocalonego, a wieśniaka leżącego na przodzie parochodu, poza buforami i latarniami. Zdejmują go ztamtąd troskliwie, a widząc jego nieprzytomność, wsadzają do wagonu i przywożą do Piotrkowa.

Pokazuje się że w chwili kiedy bufory maszyny, rozbijając wóz, oddzieliły go od uprzęży, podrzucony wieśniak spadł poza latarnie parochodu i pozostał tam bez najmniejszego szwanku. Powołany nazajutrz do śledztwa, nic objaśnić nie umiał; zeznał tylko że podchmieliwszy sobie, zasnął i nie wié co się z nim stało. Po zwróceniu mu konia, wsiadł na niego i wrócił do domu.

Drzewo sztuczne. W niektórych tartakach angielskich z bezużytecznych trocin potrafiono skorzystać i zamienić je w ozdobne i cenne drzewo. W tym celu odsiane miałkie trociny mieszają z jedną ósmą częścią na wagę żywicy Mięszaninę tę umięszczają pomiędzy. blachami i zabarwiają rozmaicie, a nakoniec poddają ciśnieniu prasy. Tym sposobem otrzymuje się sztuczne, nader twarde i bardzo ozdobne drzewo, które służy na forniry do mebli, zwłaszcza jeżeli im za pomocą metalicznych wzorów nadadzą w prasowaniu piękne desenie i wypukłorzeźby.

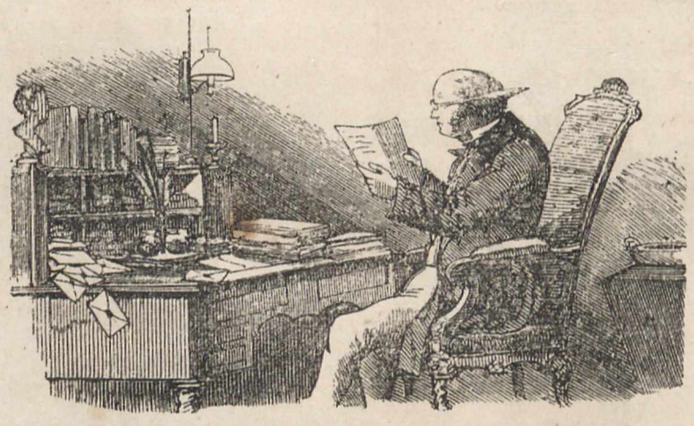

Panu Kilofowi z Par. Nadesłanéj szarady konikowéj w „Tygodniku“ umieścić nie możemy.

Panu M. Ł. w Białymstoku. List od redakcyi adresowany był ściśle podług wskazania szanownego pana M. Artykuły nadsyłane, byle odpowiednie potrzebom pisma, mogłyby przynieść korzyść nietylko wydawcy, ale i autorowi, co już wyłącznie zależałoby od umowy.

Panu X Z. w Radomiu. Szkic Pański uważamy za niestosowny dla naszego pisma.

Panu S. O. w Pyzdrach. Rebus jest dobry; zmienić w nim tylko trzeba wyraz *parte* na *poparte.*

Panu I. Ł. w P. Za nadesłane rysunki i monografie serdecznie dziękujemy; tém więcéj są nam pożądane, iż pragnęlibyśmy w piśmie naszém podawać opisy i zabytki ze wszystkich stron kraju.

P. Sewerynowi —y—. Przekłady Pańskie, lubo piękne, nie mogą być zamieszczone w „Tygodniku“, w którego kolumnach chcielibyśmy zamieszczać tylko poezye oryginalne.

NOWY KASTOR I POLLUKS,

albo

HISTORYA O DWÓCH ZASUSZONYCH KAWALERACH NA WARSZAWSKIM BRUKU.

(Opowiadanie Cześnikiewicza.)

(Dokończenie).

V.

A i przeszło, jak powiedział Wincenty. Jeno że z małą różnicą, ale Ignacy był ten sam co zawsze. W dwa tygodnie ułożył się do starego ładu; nie spóźniał się ani godziny do biura, dręczył tak samo archiwistów i kontrolerów objaśnieniami, zjadał swoję bułeczkę o dwunastéj, słuchał zimno interesentów. To go tylko martwiło, że weszła kilkodniowa luka w listę stanu służby, po dwudziestu latach najregularniejszego uczęszczania do biura. Zaległości wyrobił w dwa tygodnie, na obiad przestał się spóźniać. Ale po obiedzie długo był nieszczęśliwy. Zamiast kursu dla strawności po Nowym świecie do kościoła św. Aleksandra, obrócił przechadzki na Powązki. Tam na grobie Beatryczy polewał kwiatki, wypełał chwasty, potém czytał kuryera i książki ciekawsze godzinę całą. Zmrok wypędzał go z cmentarza. Gdy przyszła zima, jeździł dorożką, bo dzień był za krótki; zawiesił téż lekturę. Potém szedł nałogowo do kamienicy na Długą ulicę, gdzie mieszkała i skonała Zosia. Popatrzał w jéj okno, bo wnijść do mieszkania było niepodobna; wdowiec, aby odsunąć wspomnienia męczennicy, przeniósł się w inną stronę miasta. Mieszkanie po Zosi wynajął lichwiarz, jéj sypialnia stała się gabinetem do umawiania się z interesentami. Z pamiątek po Zosi Ignacy ocalił starą parasolkę, odkupiwszy ją za rubla od kucharki, która wzięła po pani sukcessyą w starzyznach.

A potém Ignacy powracał do domu, czytał Liwiusza, Plutarcha, Volumina Legum i Gniazdo Cnoty Paprockiego. Wszystkie stosunki ze światem zerwał, nawet archiwista młodszy, pięćkroć czyhając na wschodach kommissyi skarbu, uprosić go nie mógł do odwidzenia chrzestniaka, a pani referentowa statecznie wyrzekła się nadziei wyswatania kochanego kommissarza.

Wincenty powoli przyzwyczaił się do partyi wista bez Ignacego, znalazłszy apartenera bardzo uważnego. Prawdą a Bogiem, kontent był z domatorstwa kolegi, bo jakoś i ład się domowy poprawiał, i łatwiéj było o gościa, gdy wieczorem zawsze zastać było można kogoś w mieszkaniu. A Wincenty coraz był cięższy, tusza rosła, krew burzyła się ruchem ciała. Wszelako apetyt rósł, interesentów nigdy nie brakowało, śniadania, obiady, ostrygi, wino, coraz poprawiały się na świecie.

Tak sobie szły lata całe; trzy razy Ignacy sadził kwiaty na Zosi grobie, trzy lata peł w nich chwasty, zlewał je wodą, czytywał „Kuryera“ i najnowsze dzieła, przy kamieniu Zosi siadując. Ale w tych czasach jakoś rozrosło się serce, spadł nań promyczek łaski nieba. Ignacy począł bywać w kościele, kupił książkę do modlitwy, taką samę jaką miała Zosia; on uczuł konieczną potrzebę związania się z niebem przez modlitwę.

W biurze poczęto dziwić się niesłychanéj odmianie w charakterze Ignacego. Lubo wysechł jeszcze bardziéj i zżółkł na twarzy, jednakże zrobił się przystępniejszym, sfolgował dawnéj surowości urzędowéj, a dawał przystęp do serca prośbom ludzkim. Był tak samo prawym człowiekiem, ale prawość jego oblekła się dziwnym urokiem, który chwytał ludzi za serca; jeden tylko kontroler nie mógł pojąć jaki obrót biorą interesa skarbu, kiedy kommissarz, awansowany na radcę wydziału, przy zdwojonéj spraw ważności, coraz mniéj żądał od niego objaśnień. Nawet raz odezwał się z tém głośno, chociaż niepytany:

— Trzy tysiące cztérysta dwanaście! Coś dziwnego dzieje się z panem radcą kochanym; od dwóch miesięcy nie potrzebował mię ani razu.

Wszelako osobiście nastręczać się z posługą nie śmiał, chociaż tęskno mu było na świecie, gdy brakło ostatniego człowieka, który przywiązywał ważność do jego osoby i wartości cyfer.

Jednego dnia, z wielkiém podziwieniem Ignacego, dwunasta godzina północna dawno minęła, a Wincenty nie powracał do domu. Przeszła noc cała, Ignacy oka nie zmrużył; odesławszy spać służącego, czuwał sam do rana samego, aby zabałamuconemu koledze otworzyć gdy zadzwoni. Wincenty nie przychodził. Rano wysłany służący obleciał wszystkich znajomych, dla dowiedzenia się czy gdzie nie zaawanturował się towarzysz, tak regularny, na bachandryą lub upartego wista. Nigdzie ani śladu!

Już Ignacy miał wyjść do biura, gdy posługacz szpitala Dzieciątka Jezus wszedł z kartką od intendenta, zawiadamiając domowników, że jw. radca kollegialny Wincenty Perła, jak się to okazało ze znajdnącego się przy nim biletu wizytowego, został znaleziony na ulicy, wieczorem, bez przytomności i zaniesiony tymczasowo przez policyą do sąsiedniego szpitala, dla udzielenia mu pomocy lekarskiéj.

Zerwał się Ignacy jak ukropem oblany i pobiegł galopem do szpitala. Co za okropny widok! Wincenty, dotknięty atakiem apoplektycznym, dla spóźnionéj pomocy został sparaliżowany. Oczy miał otwarte, ale omdlałe, blade; stracił mowę i władzę w jednéj połowie ciała.

Taki stan wymagał nieustającéj opieki, i to opieki najtroskliwszéj. Ignacy wziął dlań osobny numer, ugodził stałą a wyłączną dla chorego obsługę. Co dzień, po powrocie z Powązek, cały wieczór przepędzał przy nieszczęśliwym kaléce, który mając całą przytomność umysłu, nie był zdolny wylać ani jednéj myśli z duszy, a mordował się przez dzień cały tą okropną samotnością zamkniętéj w ciele duszy, bez panowania woli. Cóż to za roskosz ogarniała go, gdy wieczór przyszedł, piesek Ignasia odezwał się za drzwiami, potém drzwi się otwarły i ukazywała się twarz przychylna, zbliżała się chwila karmienia serca i duszy!

W téj samotni długiéj ocknęła się dusza, ze zmysłowego życia wyzwolona. Wincenty, marząc dnie całe, począł szukać i odkrywać w sobie wszystkie władze, zdolności, przeglądał cały posag boży dany na doczesne życie. Wtedy to ozwało się i serce stygnące lat tyle, począł się rachunek uczuciowego życia. I pokazało się, że nikt nie kochał p. kommissarza, chociaż tylu karmiło i poiło, bo kommissarz nic także nie kochał. Została mu tylko nałogowa przyjaźń tyloletniego towarzysza niedoli i doli, zostało jedyne serce współczujące.

Trzy takie lata nie wstał Wincenty z łoża, trzy lata nie widział jasnego nieba, ruchu społecznego, i nikt ze znajomych starych nie odwidził go przez ten

czas trzy razy. Znał wszystkie plamki na murze pokoiku szpitalnego, poznawał po głosie i chodzie każdego posługacza, zaczął już wreszcie dźwigać się z poduszki o własnych siłach, i mówić, choć zająkliwie i niewyraźnie, wszelako mówił. To była już wielka roskosz dla duszy stęsknionéj tyloletniém milczeniem, dla spracowanéj myśli tak długiém szybowaniem za murami szpitala. Wincenty stracił posadę swoję, został na połowie pensyi; to wystarczało jakoś na chléb szpitalny, przy pomocy Ignacego. Wincenty ocknął się sercem, zaczął już kochać wielką wdzięcznością towarzysza, który przez lat trzy nie chybił godziny i nie lękał się szpitalnego powietrza, opiekując się jeden biédnym

Trzy lata p. Wincenty nie wstał z łoża....

kaléką. Już wstępowała nadzieja w serce Wincentego że stanie na nogach niezadługo, kiedy los uparty zrządził inaczéj.

Jednego dnia zbliżała się godzina szósta wieczorna, w któréj Ignacy najniezawodniéj stawiał się w izdebce Wincentego i zabawiał go czytaniem, a potém przyrządzał herbatę i czekał zaśnięcia kaléki. Wincenty chciał uradować towarzysza niespodzianką. Wydobył się z łóżka, kazał się ubrać i posadzić na fotelu, na co już doktór zezwalał. Gdy już był gotów, niecierpliwie liczył sekundy, minuty, kwadranse, godziny nareszcie, a Ignacego nie było.

— Musiało coś nieprzewidzianego zajść kochanego Ignasia. Onby nie zapomniał o mnie. Czy aby nie chory? bo chociaż widuję go wieczorami tylko, zdaje mi się że coraz mizerniejszy, a zima jakoś niedobra na słabe piersi, bo ciepła i mokra.

O dziewiątéj wieczorem wysłał do mieszkania Ignacego, dowiedzieć się co przeszkodziło zwykłym odwidzinom. Powrócił służący z wiadomością, że Ignacego niéma w domu.

— A prawda, przypominam sobie, był zaproszony na ślub dyrektorówny; pójść wypadało.

Rano posyła drugi raz; posłaniec przynosi wiadomość, że pan nie nocował w domu.

— Ha, widać zabawili się dobrze. Żeby tylko Ignaś nie pił za wiele, on ma takie słabe piersi.

W południe jeszcze Ignacego nie było. To już za wiele. Wincenty kazał się nieść w lektyce do mieszkania. Wybiega na odgłos dzwonka poczciwy Maciek, zapłakany okropnie.

— Maćku! co tobie się stało?

— Proszę pana Azorek zdechł. Pan się bardzo zmartwi jakpowróci. Stare było psisko, zębów nie miał, ale był jeszcze żwawy...

— Głupiś!... Ale z panem co się dzieje?

— A i ja téż chciałem iść spytać się do wielmożnego pana.

— Więc Ignacy nie wrócił?

— Od wczoraj rana, do tego czasu. Może wielmożny pan zobaczy Azorka...

— Idź do licha, głupcze!... Zanieście mię do mojego pokoju i połóżcie na łóżku.

— Kiedy pościeli mało, bo jest u pana w szpitalu.

— Idź po nią do szpitala!

Maciek wyszedł, został się tylko jeden z posługaczy szpitalnych.

Po chwili ktoś dzwoni.

— Otwieraj żywo, to Ignacy!

Drzwi się otwarły, wszedł człowiek czarno ubrany, w mundurze powązkowskiéj służby cmentarnéj.

— Czy tutaj mieszkał pan radzca Ignacy Cholewa?

— Tutaj.

— Czy jest kto z familii, któryby się zajął jego pogrzebem?... bo znaleźliśmy go zmarzłego na grobie pani jednéj, gdzie od trzech lat co dzień bywał, kwiaty sadził, modlił się i czytywał książki...

Wincenty zerwał się z krzesła na równe nogi, dobywszy całych sił na jakie stać go było tylko. Ale po tém wysileniu upadł nagle, pobladł jak marmur, głowa zwisła, ręce opadły. Prawie na to wszedł Maciek z pękiem pościeli i zląkł się okropnie.

Poczciwy Maciek został sam jeden z lichą głową, choć najlepszém sercem, do opiekowania się kaléką zapadłym w niemoc zupełną.

Ale jakoś Maćkowi przyszedł do głowy rozum w nieszczęściu; pobiegł cwałem do pana rachmistrza i opowiedział co się dzieje z jego panami.

— Trzy miliony dziewięćkroć cztérnaście tysięcy dwieście siedmdziesiąt cztéry! wykrzyknął rachmistrz i wkłus pobieżał bez czapki do mieszkania Kastora i Polluksa, tak nazywano dwóch towarzyszy.

Zastał kommissarza w nowym ataku paraliżu; zebrał konsylium doktorów, ratował noc całą. Rano pojechał na Powązki po trupa pana radzcy, ostatniego urzędnika, którego szanował i kochał. Poczciwy rachmistrz trzy dni nie spoczął, dopóki nie pochował Ignacego, a kommissarza nie zobaczył ubezpieczonego od śmierci. Nareszcie pojawił się w biurze, a na wejściu spotkał figlarza.

— Tysiąc sto trzy! Co tam słychać kochany kontrolerze.

— Pięć milionów równo! Mówię panu, źle słychać, źle bardzo! Radzca pochowany, testament otworzony, Zostawił sześćdziesiąt tysięcy gotowizny, od któréj procent przeznaczył na ratowanie kommissarza Perły, a po śmierci Perły weźmie połowę dziecko p. archiwisty, resztę familia nieboszczyka. Mnie zapisał ruchomości wszystkie bez wyjątku, o czém nie wiedziałem, a warte ze trzy tysiące rubli.

Ignacego służba cmentarna znalazła zmarzłego na grobie Beatryczy.

— A z Perłą co się dzieje?

— Milion dwa kroć cztérnaście tysięcy! Źle bardzo. Nie ma żony i dzieci, smutno biédnemu kaléce. Jest wierny sługa, ale strasznie głupi.

— A to źle, kontrolerze.

— Trzy tysiące trzysta cztéry! Znalazłem i na to sposób. Oto namówiłem Maćka, żeby się ożenił z moją kucharką. Kucharka nieurodna, ale poczciwa dziewczyna. Ma lat trzydzieści sześć, była dobréj konduity, a ma rozum dziewczyna. Tak więc zapewniłem los kommissarza Perły, o którym mówią doktorzy, że pożyje długo, ale nie wyzdrowieje nigdy. Tak to nie miéć celu życia, żony i dzieci, nie ma kto kochać człowieka na starość. Boże odpuść egoistom!

Zadanie konikowe do nagrody.

za-	do-	rznąć.	mi	sem	z cie-	al-	trze-
dlę-	ga,	wsze	bra	bo	sa-	do	lę-
zdo-	a	cia,	cza-	wie-	cia,	cia	kać
dlu-	by-	cie,	gdy	ro-	kich	jak	stro-
ju,	bi.	ko	wszyst-	część	się	sie-	i
wte-	czy	to	prze-	tyl-	bi.	ju,	cie,
dru-	bo-	krót-	tknąć,	i	sem	dru-	dy
ka	dy	gie	do	ga,	kie-	trze-	cza-

Za powyższe zadanie wydawca „Tygodnika Illustrowanego“ przeznacza w książkach wartości złp. 27 trzy nagrody dla Warszawy i trzy dla prowincyi. Rozwiązanie obejmować powinno wiérszyk ukryty w szachownicy i znaczenie szarady. Dla większéj trudności, w zadaniu tém wszystkie wiérsze zaczynają się od głosek mniejszych. Listy w tym przedmiocie z prowincyi lub z poczty miejskiéj w Warszawie powinny być frankowane.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 8.

1) C 4 — B 5 † . . . . . 1) B 6 — A 7
2) B 5 — B 8 † . . . . . 2) C 8 — B 8 bierze
3) C 7 — C 8 (koń) † i mat.

REBUS.

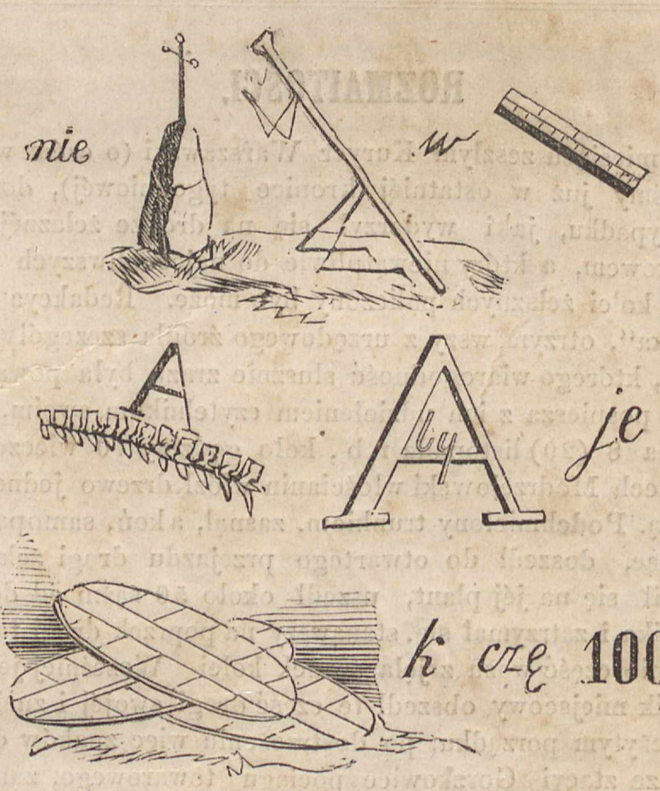

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 11.

Nowy rok za pasem, zapusty nadchodzą.

Rozwiązanie zadania konikowego umieszczonego w Nrze 11.

Mój wszystek, czyliż nie wiécie,
Najnędzniejsze wiedzie życie,
Ćwiczony batem po grzbiecie,
Co nie straci to wywłóczy;
Przez niego drugie i trzecie,
Kraje się, spólchnia i tuczy.
By piérwsza z trzecią wyrosła,
I znów mu na paszę poszła.

Znaczenie (*Wy-wło-ka*).

W Drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 5 (17 grudnia) 1859 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*